

– O zesz, co za pech! – jęknęła Gośka z rezygnacją w głosie. *Cztery godziny w plecy, a ja przed wyjściem trzy szybkie strzeliłam, żeby ze strachu nie poobgryzać wszystkich paznokci i spokojnie zasnąć w tym cholernym latającym pudle!* – wściekała się.

Młody i jeszcze nie całkiem opierzony przedstawiciel biura podróży bezradnie rozłożył ręce, tłumacząc, że sam dowiedział się o opóźnieniu dopiero przed chwilą i nie miał szansy powiadomić wcześniej pasażerów.

– A kij mu w oko, toć to młodziak jeszcze. Dość już się dziś nasłuchał – szepnęła miłosiernie jakaś starsza uśmiechnięta kobieta, odchodząc od kontuaru, więc Gośka dała spokój dalszej zadymie.

Od zawsze panicznie bała się latać samolotem, a to kilkugodzinne opóźnienie tylko niepotrzebnie wydłużało nerwówkę. Jej strach wręcz graniczył z fobią i zawsze skutkowało mimowolnym żołądkowo-jelitowym reisefieber, w pełnym tego słowa znaczeniu. Tym razem postanowiła być sprytna i przechytryć swój lęk wcześniejszym wprawieniem się w stan lekkiego rauszu. Pomysł wydawał się dobry, ale nie przewidziała, że wylot do Hurgady aż tak bardzo się opóźni. Nie przyszło jej również do głowy, że na krajowym lotnisku wszyscy gastronomiczni ajenci udadzą się w tym czasie w objęcia Morfeusza, pozostawiając spragnionym niedoszłym pasażerom tylko zepsuty automat z coca-colą.

Niezrażona, nieporadnie popychając przed sobą wózek z bagażami, metodycznie sprawdziła wszystkie zakamarki lotniska. Co prawda, znalazła dwa czynne automaty, ale cóż z tego, skoro do dyspozycji miała tylko jeden z zapasem kolorowych prezerwatyw, a drugi z kilkoma bukietami mocno już przywędłych kwiatów. *Ciekawe, kto to kupi? O rany, naprędce sklecony przez dyletanta mały bukietek zdechłych różyczek, wątpliwie ozdobiony wiechciem jakiegoś poźółkłego, kiedyś zielonego badziewia. I to za pięćdziesiąt złotych! Przecież to się nadaje wyłącznie na śmietnik!* Pokręciła głową z wyrazem najwyższego politowania.

Zajmując się na co dzień prowadzeniem dwóch kwiaciarni i całkiem dobrze prosperującej firmy florystycznej, zdała sobie sprawę z komizmu tej żalostnej kwiatowej oferty i ryknęła śmiechem na całą halę odlotów. Swoim zachowaniem natychmiast przykuła znaczące i karcące spojrzenia kilkudziesięciu równie jak ona wkurzonych podróżnych, ale miała to w nosie.

Ostentacyjnie wzruszyła ramionami, reagując w ten sposób na ludzkie wścibstwo (bo guzik ich obchodzi, że ona się z czegoś śmieje), i nadal sterczała bezradnie w tłumie zde gustowanych pasażerów, pragnących już wreszcie znaleźć się na miejscu, odpocząć i wygrzać zmarznięte kości.

Na zewnątrz było zimno, lało jak z cebra. Gośka szczerze opatulona w ciepły polar z mozołem sterowała przymulonym umysłem, głowiąc się, co by tu dalej ze sobą począć. Wszystkie miejsca nadające się do tego, aby na nich jakoś przycupnąć, zostały już zapobiegliwie zajęte przez rozciągnięte na całą długość, rosłe ludzkie ciała, żadne szybkiego snu. *Niech to licho porwie!* – złościła się, lekko wstawiona. *Też mi urlop! A może dać sobie spokój, skoro tak pechowo się zaczyna?*

O nie! Przecież nie mogła odpuścić i tym razem. Jej dwie najlepsze przyjaciółki już od dwóch dni wygrzewały blade ciała pod egipskim słońcem. Znając życie, z lubością zalegały teraz na leżakach przy hotelowym basenie w zatoce Makadi, na bank fundując obie oblaşącą skórę. Z niecierpliwością oczekiwały przyjazdu Gośki, namiętnie śląc entuzjastyczne SMS-y. Tym razem nie mogła skrewić. Wcześniej już kilka razy odwoływała umówiony wspólny wyjazd i gdyby ponownie wycięła koleżankom taki numer, byłaby zwykłą świnią. Ta wycieczka to była urodzinowa niespodzianka dla niej od Zuzy i Felicji. Przyjaciółki uznały, że już dosyć życiowych zakrętów i stąd pomysł takiego prezentu. Wspólnie uradziły, że tuż po rozstaniu z mężem ich kumpeli należy się zasłużony głęboki oddech.

Nie dało się ukryć, że za sprawą Bogdana Gośka przeszła piekło, wiecznie podejrzewając, że ją zdradza, ale czara goryczy przelała się na dobre kilka miesięcy temu, kiedy u drzwi ich apartamentu rozległ się o świcie dzwonek. Właśnie zmęczona układała się do snu. Kilka godzin wcześniej odwiozła męża do szpitala z ostrym atakiem wyrostka robaczkowego i dlatego właśnie nie pojechała z dziewczynami na dwutygodniowe wczasy na Costa Brava, nieodwołalnie tracąc wpłacone pieniądze. W nerwach doczekała końca udanego zabiegu i skonana wróciła do domu.

Zdziwiona wizytą o tak wczesnej porze, ostrożnie uchylila drzwi. Na klatce schodowej stała na oko trzydziestoparoletnia ładna kobieta z dwójką małych dzieci i piękną angielszczyzną z londyńskim akcentem zapytała o Bogdana. Gośka niejako automatycznie powiedziała o nocnym zabiegu, a tamta ze zdenerwowania zalała się łzami, wtarabaniła się z walizkami do mieszkania i poprosiła ją o opiekę nad dziećmi. Wypytała o adres szpitala, wezwała taksówkę i już jej nie było.

O co chodzi do jasnej cholery? Co to za baba? Kuzynka jakaś czy co? I do tego te dzieciaki? A może to kuzynka Jane z londyńskiej rodziny Bogdana? Ta, którą tak często odwiedza przy okazji tych swoich angielskich kongresów? – głowiła się zaskoczona, gwałtownie łapiąc powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg.

Nie miała czasu na dalsze domysły, bo młodszy chłopczyk bez ostrzeżenia padł na dywanik przy kominku, ułożył się wygodnie i zaczął chrapać jak stary. Dziewczynka, nieco starsza, cokolwiek wystraszona, przysiadła grzecznie na brzegu kanapy. Była śliczna. Ogromne niebieskie oczy i blond włosy, wijące się i układające w pukle, takie, jakich żaden fryzjer nie wyczaruje na dłużej niż godzinę. A ta mała szczęściara z takim cudem się urodziła. *To niesprawiedliwe!* Gośka podeszła do małej i podała jej szklankę soku.

– Hej, dzieciaku! Jak masz na imię? Ile masz lat? – zapytała po angielsku.

– Claire i mam sześć lat. A ty? Mogę do ciebie mówić ciociu? – wyszeptala speszona dziewczynka.

– Jestem Gośka i niedługo kończę trzydzieści, i możesz mi mówić po imieniu. Do kogo przyjechaliście?

– Do tatusia – wypaliła mała.

– Tatusia...? – Gośka zupełnie nie wiedziała, o co chodzi, ale szybko przelknęła mocną kawę i zaczęła dalej wypytywać dziewczynkę, dziękując Bogu, że może się dogadać. – A gdzie mieszka twój tatuś? – zapytała, święcie przekonana, że to jakaś pomyłka.

– Yyyyy, nie jestem pewna, ale mamusia mówiła, że tutaj. Zaprosił nas na dwa tygodnie.

– Tutaj!? – Mało brakowało, a spadłaby z krzesła. – A jak ma na imię twój tatuś?

– Nasz tatuś ma na imię Boggie, to od Bogdana, ale Boggie jest ładniej. Bardzo za nim tęsknię. Już dawno do nas nie przyjeżdżał, a teraz jest chory. – Płacz wisiał Claire na końcu nosa i ziewała jak smok.

Zszokowana Gośka, nie oglądając się na zmęczenie dziewczynki, postanowiła wydusić z niej, ile się da przed powrotem matki i dopiero później ułożyć małą do snu.

– A mamusia?

– Mary, a mój braciszek to George. Ma dopiero trzy latka. To jeszcze maluch. Nie to co ja! Ja już nawet mam swojego chłopaka! – Dziewczynka chyba chciała się pochwalić. Gośka nigdy nie miała do czynienia z dziećmi, więc mogła się tego tylko domyślać. *Kurna, co tu jest grane? Myśli gnały po jej głowie z prędkością światła. To musi być jakaś koszmarna pomyłka!*

Nie namyślając się dłużej, Gośka poderwała się z fotela i nieprzytomna z nerwów podbiegła do szafki, z której wyjęła laptopa. Jak na złość system otwierał się z prędkością ospałego ślimaka. Energicznie pacnęła dłońią w klawisze, żeby przyspieszyć proces i wreszcie znalazła w swoich plikach wyraźne zdjęcie męża. Obróciła laptopa w stronę Claire i chcąc jak najszybciej wyjaśnić nieporozumienie, palcem wskazała odpowiednią fotkę.

– Ojej, tatuś!

Goście odjęło mowę. Machinalnie zaprowadziła Claire do łazienki i ruchami robota posłała dla dzieci duże łóżko w gościnnym pokoju. Drżącymi rękami przeniosła do łóżka posapującego George'a i gdy Claire już zasnęła, co trwało dosłownie kilka sekund, zdruzgotana wyszła na balkon z kolejną kawą, żeby pozbierać myśli.

Chciała wszystko poukładać sobie w głowie, ale to nie było takie proste. Czowała się tak, jakby ktoś wyprał jej mózg w pralce automatycznej i na koniec porządnie odwirował. *Nie, no to niemożliwe. Ta mała jest wykończona po podróży i pewnie bredzi bez sensu. Mój mąż i dzieci z Anglii? Eee, jakim cudem? Mała ma sześć lat, więc z ich matką musiałby się spotkać jakieś siedem lat temu. To po co by później żenił się ze mną? Nie, to się nie trzyma kupy.*

Wzięta głęboki oddech i cichutko zajrzała do pokoju, w którym spały dzieci. Spojrzała uważnie na śpiącego George'a i krew odpłynęła jej z twarzy. Pograżony we śnie chłopczyk wyglądał jak wierna, zminiaturyzowana kopia jej męża.

Zmęczona wydarzeniami ostatnich dwudziestu czterech godzin, z przyjemnością przytuliła się do anatomicznej poduszki. Spała niespokojnie, miętosząc pościel, ale dobre i to dla takiego śpiocha jak ona.

Obudził ją damski podniesiony głos, który natarczywie nadawał coś po angielsku. Dobrą chwilę trwało, zanim Gośka oprzytomniała na tyle, żeby przestawić się na obcy język i zrozumieć, co się dzieje. Spała tylko dwie

godziny i czuła się jak po ciężkich robotach, a ta kobieta, to znaczy Mary, chyba właśnie wróciła ze szpitala.

– No kto to widział spać tak długo?! Dlaczego dzieci śpią w ubraniach?! Za to ci płacą? – Mary najwyraźniej miała do Gośki pretensje.

– What's up? – odchrząknęła nieprzytomna.

– Co?! A może by tak jakieś śniadanie? Już ja sobie z Bogdanem porozmawiam, jak tylko się do niego dostanę! Nie rozumiem, co za kretyńskie zwyczaje panują w tych waszych szpitalach, żeby najbliższej rodziny do pacjenta nie wpuścić! – Mary była wściekła. – Może choć ekspres nastaw, bo chyba robienie kawy należy do twoich obowiązków?

– Jakich znowu obowiązków? – Zdumienie Gośki nie miało granic. – O co chodzi z tą najbliższą rodziną?

– No to już przechodzi ludzkie pojęcie! – tokowała oburzona Mary. – W Londynie za taką bezczelność w pięć minut wyleciałabyś z pracy!

– Z pracy? Ja tu mieszkam i jak chcesz kawy, to ją sobie zrób!

Mary poszarzała na twarzy. Była zła.

– Naprawdę? – skrzywiła się ironicznie. – Ciekawe w jakim charakterze? Utrzymanki? No, rusz się wreszcie, ty leniwa babo! – Mary cała się zagotowała, a jej ciemne oczy miały pioruny.

– Mieszkam tu w charakterze żony, a w dodatku tak się składa, że to jest moje mieszkanie.

– Żony... – Mary rozdziawiła usta ze zdumienia i w jednej sekundzie całkowicie straciła rezon.

– Ehe. Pokazać ci akt ślubu i zdjęcia?

Na widok miny zdezorientowanej Mary, Gośka poczuła satysfakcję, która nieco osłodziła jej to szokujące przeżycie. A co tam! Niech ona, Mary, też ma za swoje! – Zaczekaj, zanim coś powiesz. – Gośka uprzedziła kolejny wybuch wściekłości. – Odświeżę się tylko i zaraz ci zrobię tę zakichaną kawę. Chyba musimy sobie wyjaśnić to i owo.

– Okej. – Mary przystała niechętnie, widząc, że chwilowo i tak nie ma z kim gadać.

Pod prysznicem Goście puściły nerwy i zaczęła się śmiać nerwowo. *Paranoja jakaś. Przecież to wszystko przekracza granice największego absurdu.* Wypucowała zęby i odświeżona, względnie lekkim krokiem wkroczyła do kuchni. Przy stole siedziała roztrzęsiona Mary. Dzieci na szczęście jeszcze spały.

Gośka nacisnęła odpowiedni guzik i kuchnię wypełnił miły aromat świeżo mielonej lavazzy.

– Masz! – Położyła przed Mary akt ślubu i ślubne zdjęcia. – Czy rozmawiamy o tym samym facecie? – Wymieniła jego datę urodzenia, nazwisko i parę innych danych.

Mary zbladła jak płótno. – Tak.

– Jakim cudem?

– Nie wiem, ale niech ja go tylko dorwę w moje ręce, to mu flaki wypruję! Co ja teraz powiem dzieciom? – Rozplakała się. – One nie zniosą rozwodu. Bardzo go kochają i są za małe, żeby zrozumieć, co się dzieje. Zresztą ja też tego nie ogarniam – chlipnęła zasmarkana.

Była to jedna z nielicznych sytuacji, w której wygadana i bystra Gośka nie wiedziała, co powiedzieć. O ile posiadanie dzieciaków na boku od dużej biedy jeszcze jakoś mieściło się w jej głowie, o tyle posiadanie drugiej żony już nie. – Rozwodu? – spytała słabym głosem. – To ty też jesteś jego żoną?

– Tak. Pobraliśmy się, gdy byłem w ciąży z Claire.

– Ze mną ożenił się dokładnie trzy lata temu. W marcu.

– Dokładnie wtedy urodziłam George’a!

– Dobry Jezu...

– No i co my teraz zrobimy? Ale kombinator! Tyle lat ukrywał podwójne życie i to między Polską a Anglią. Ja myślałam, że on jest na kontrakcie w Polsce i w Czechach. Nie lubiłam, jak jeździł zwłaszcza do Czech.

– A ja byłem przekonana, że pracuje na kontrakcie w Anglii... No i te wypadki do Czech. Słuchaj, przecież my mamy do czynienia z bigamistą! A może on w tych Czechach ma jeszcze jedną żonę? Albo i więcej?

– Ja nie mogę, ale numer! – Mary roześmiała się histerycznie.

Obie kobiety czuły się jak ogłuszone. Sytuacja była tak niedorzeczna, że aż niemożliwa. Obie badawczo przyglądały się sobie nawzajem i gwałtownie mrugały, żeby się upewnić, czy aby na pewno „ta druga” nie jest przypadkiem jakimś urojonym zjawiskiem. Może to wszystko nieprawda... Mimo szoku obie z pewną ulgą stwierdziły, że jadą na tym samym nieszczęsnym wózku i trzeba zewrzeć szeregi. Wzajemne wsparcie – jedynie tym mogły się pocieszyć w tak niebywałej sytuacji.

– Boże! Też tego nie ogarniam, ale wychodzi na to, że mamy wspólnego męża.

– Wszystko na to wskazuje. – Mary nadal nie mogła otrząsnąć się z szoku.

– Matko, nie wierzę. Że też akurat mnie musiało coś takiego spotkać? Mary! Uszczypnij mnie! Jeśli to wszystko prawda, a na to wygląda, to ja się wycofuję. Ty masz dzieci i jak tego palanta chcesz, to go sobie weź, bo

ja go już nie chcę! Od dawna podejrzewałam, że się gdzieś szlaja, ale nie sądziłam, że aż tak ostro nawywijał. Przecież to się nie mieści w głowie!

– Gośka rozszerdziła się nie na żarty.

– Zwariowałaś?! Ja też go nie chcę! Dostanie za swoje! Biedne te moje dzieci... Ale trudno. Będą się wychowywać bez ojca. Lepiej tak niż żyć z nim dalej i ciągle się bać – dodała Mary słabym głosem.

– I tak zostaną bez ojca. Bigamia jest przestępstwem! Bogdan wylądował w pace szybciej, niż mu się wydaje. I dobrze mu tak! Ale wcześniej skośmy mu tyłek i oskubiemy go na zero, co ty na to?

– Stoi! – odparła hardo Mary, gdy do kuchni wkroczyły zaspane dzieciaki.

– I pomyśleć, że gdyby nie ten atak wyrostka, sprawa jeszcze długo nie wyszłaby na jaw. – Gośka wstała od stołu, żeby przygotować dzieciom śniadanie.

– Jak to?

– Miałam inne plany. Powinnam teraz w towarzystwie moich dwóch najlepszych przyjaciółek rozkładać plażowy ręcznik na hiszpańskiej plaży. No, ale Bogdana dopadł ten atak i ja, jako naiwna dobra żona, czyli skończona kretynka, postanowiłam zostać. Co prawda, Bogdan ostro protestował, ale całe szczęście za bardzo go bolało. Dostał głupiego jasia i niczego już nie mógł odkręcić. No i sprawa się rypla.

– Shit!

– Damy radę, ale najpierw muszę się przespać. Nie spałam całą noc i w tym stanie umysłu nie wymyślę nic mądrego. Zajmij się dziećmi. Prześpij się trochę, dobrze? Obudź mnie za jakieś trzy godziny. Pomyślimy co dalej. Zadzwoń później do znajomej adwokatki. Ona tak mu się dobierze do skóry, że przerobi go na gulasz. Jak ten cymbał, nasz mąż, kurde, jak to brzmi, do ciebie zadzwoni, porozmawiaj z nim jak gdyby nigdy nic. Okej?

– Jasne! – zdruzgotana Mary przytaknęła posłusznie, a Gośka szybko walnęła się do łóżka. Chciała jak najszybciej zapaść w sen i przespać choć część z tego koszmaru.

* * *

Niemile wspomnienia przerwał komunikat wyświetlony na niebieskim ekranie. Można już było pozbyć się bagażu, wysyłając go na taśmie w tajemniczą czarną dziurę. Jak zwykle z lekka powątpiewając w to, czy dostanie swój bagaż z powrotem, Gośka z wyraźną ulgą oddała dwie ciężkie

torby i szybko czmychnęła na pobliskie, cudem opustoszałe krzesło. Nie mając nic lepszego do roboty, z nudów oddała się obserwacji innych podróżnych.

Nic ciekawego, zwykli ludzie. W przeważającej większości małżeństwa umęczone rozbrykanymi mimo później pory dziećmi. Spora gromadka, korzystając z zamieszania, postanowiła swoimi czyściutkimi ciuszkami wyfroterować posadzkę hali lotniska do pełnego połysku, przygotowując o palpitację serca swoje przewrażliwione matki i wywołując pobłażliwe spojrzenia wyluzowanych tatusiów, którzy stan garderoby swoich pociech mieli kompletnie w nosie. Do tego kilkunastu nieprzytomnych, długowłosych studentów w ekologicznych sandałach i kilku brzuchatych facetów w hawajskich koszulkach. Ci ostatni najwyraźniej już poczuli się jak na urlopie, bo korzystając z opóźnienia zdążyli wysłać kogoś do pobliskiego sklepu monopolowego i z minuty na minutę zachowywali się coraz głośniejsze i śmielej. *Ot, kulturka...* – pomyślała. *Ale dziadostwo.* Gośka westchnęła ciężko, wstydzając się w duchu za posiadaczy hawajskich koszul rodem prosto z łódzkich bazarów.

Kiedy już kończyła ten towarzyski przegląd, jej wzrok przykuły dwie lekko podstarzałe i mocno wytapetowane kobiety. Obie zwracały uwagę różowymi tipsami, świeżym tapirem prosto spod ręki fryzjera i dekolta- mi napompowanymi efektem push-up. Sukienki mini w krzykliwych barwach, cekinowe torebki i mnóstwo bazarowej biżuterii. Całości dopełniały złote sandały na niebotycznej szpilce, starannie zasnurowane, pod samo kolano, dzięki czemu słusznych rozmiarów łydki wyglądały jak promocyjna fotka zakładu produkcji wędlin i chyba w zamyśle właścicielek miały dodawać im seksapilu. Niestety, ten szynkowo-baleronowy efekt budził powszechne politowanie i współczucie dla krążenia krwi posiadaczek seksownego obuwia. Gośka nie mogła się nadziwić, jak można w długą podróż założyć na siebie coś takiego. *Matko, przecież w tych krótkich kieckach tyłki im się przykleją do siedzeń w samolocie! A jak się przytrafi awaryjne lądowanie? Brr.*

Ech, jeszcze trzy godziny, ale Gośka, jako osoba przezorna, na wszelki wypadek wzięła ze sobą nienaruszone od mniej więcej trzech lat jolki. Chcąc nie chcąc, zabrała się za wytężony wysiłek umysłowy, który pomógł jej przetrwać kolejne godziny, nie wnosząc jednak zbyt wiele do finalnego etapu odczytania krzyżówkowych haseł. Jako urodzona humanistka dysponująca rozległą wiedzą za nic nie mogła wymyślić, jak nazywał się jakiś legendarny wódz Madziarów i co to jest aerofon ustnikowy, rozpoczyna-

jący się na literę „o”. Była zbyt zmęczona, żeby dalej rozwiązywać krzyżówki, ale z ulgą zauważyła, że jej współtowarzysze ruszyli się z miejsc i zaczęli podchodzić do bramki.

Już na pokładzie zajęła swoje miejsce, niestety przy oknie, i odmówiła dziesiątkę różańca za szczęśliwy lot. *No tak. Typowy ze mnie Polak katolik. Jak trwoga, to do Boga* – pomyślała z przekąsem, świadoma własnej hipokryzji, ale chyba jednak jej modły zostały wysłuchane, bo mężczyzna z sąsiedniego fotela zapalał nagle chęcią zamiany miejsc.

Tuż po starcie, gdy zmęczenie i późna nocna pora zrobiły swoje, Gośka zwinęła się na ciasnym fotelu jak kot i zapadła w sen. Oby tylko przespać ten horror zwany lotem.

Pasażer z sąsiedniego fotela przez chwilę spoglądał na światła miasta znikające gdzieś w dole, gdy nagle ze zdziwieniem poczuł ciężar na swoim ramieniu. Bezwładnie chwiejąca się głowa śpiącej obok kobiety kilka razy dotknęła jego ramienia, aż wreszcie spoczęła na nim na dobre.

Mężczyzna uśmiechnął się do siebie i uważnie przyjrzał się śpiącej sąsiadce. Nie była superpiękna, ale miała delikatne rysy. Zadarty nosik burzył nieco harmonię ładnego profilu, ale za to dodawał wdzięku. Jasne pachnące włosy laskotały go w policzek. Ani myślał je odgarniać. Pachniała rześką morską bryzą. Miała długie gęste rzęsy. Drobną sylwetką i typem urody przypominała mu Reese Witherspoon, prosto z filmu „Legalna Blondynka”. Jej roziskrzone niebieskie oczy o zawadziac- kim spojrzeniu zauważył jeszcze na lotnisku, kiedy znudzony obserwo- wał towarzyszy podróży. Ta kobieta przykuła jego uwagę wdziękiem i skromnością. Ubrała się wygodnie i mało kobieco, a on wyobraził ją sobie w pełnym damskim rynsztunku. Usatysfakcjonowany pokiwał głową do własnych pełnych aprobaty myśli i zajął się swoim nudnym projektem.

Siedząc w hali odlotów, co chwila zerkał na delikatną blondynkę pochłoniętą rozwiązywaniem krzyżówki, a teraz, sadowiąc się obok niej w samolocie, liczył na miłą pogawędkę. Nic z tego. Dziewczyna spała w najlepsze, od czasu do czasu rozkosznie wzdychając mu prosto w ucho. Przeszedł go dreszcz i naszły niecne myśli, ale jeszcze nie zdążyły roz- szaleć się na całego, gdy rozległo się standardowe: „Ding-dong! Tu mówi kapitan...”.

Pasażerka ani myślała uchylić powieki, bezwiednie przytuliła się jesz- cze mocniej. Spała tak ponad dwie godziny. Obudziła ją stewardessa z na- pojami, klepiąca ją po ramieniu.

Wstrętna baba! I po jakie lichy mnie budzi! Ups! Ja cię kręcę! Na jakimś facecie się ułożyłam. Ale wstyd! Gośka układała w głowie tekst przeprosin.

– No i jak się spało? Nie przypuszczałem, że moje ramię jest aż tak wygodne. – Mężczyzna uśmiechnął się przyjaźnie.

– Och, przepraszam pana... – Gośka splonęła się jak nastolatka.

– Nic nie szkodzi. Cała przyjemność po mojej stronie. Proszę wybaczyć śmiałość, ale skoro już się pani na mnie wyspała, to może mówmy sobie po imieniu. Jestem Marcin i bardzo mi miło – odparł, uśmiechając się zabójczo, przy okazji prezentując modelowe uzębienie.

– Och, jestem Gośka. Jeszcze raz cię przepraszam, że potraktowałam cię jak poduszkę. Bredzę teraz jak idiotka, ale muszę się do końca obudzić.

Półprzytomna przyjęła od stewardessy kubek kawy i pociągnęła z kubeczka długi łyk, aby zyskać na czasie. Ukradkiem zlustrowała Marcina. *Hm. Niezły.* Przełknęła kawę w ciszy.

Marcin był wysoki. Ledwie upchnął w tej ciasnocie swoje długie nogi. Wydawał się szczupły, ale jak wszyscy na pokładzie siedział solidnie pokręcony, więc Gośka nie mogła ocenić szczegółów. Co chwila zerkała na niego z ciekawością. Przystojny, niebieskooki szatyn. Klasyczne rysy. Mniej więcej w jej wieku, no, może nieco starszy. Do tego modne oprawki okularów i niebieska koszula podkreślająca fantastyczną opaleniznę.

– Hm, przepraszam, że pytam, ale czy ty przypadkiem nie pomyliłeś kierunków?

– Słucham?

– Jesteś tak opalony, że powinieneś chyba siedzieć w samolocie wracającym z Egiptu, a nie odwrotnie.

– Aa, o to chodzi. – Marcin przeżuł kawałek wołowiny z lotniczego cateringu, o dziwo, całkiem jadalny. – Bywam w Egipcie regularnie co dwa, trzy tygodnie.

No pięknie – zamyśliła się Gośka, międląc w ustach makaron. *Pewnie jakiś żigolak. Tylko ciekawe, po co komu w Egipcie polski lowelas? Podobno miejscowych kochasiów jest tam na pęczki...*

– Nie chcę być wścibska, ale po co tak często tam jeździsz?

– Poniekąd pracuję w Egipcie. Moja firma zajmuje się wierceniem studni głębinowych, a takich inwestycji jest tam sporo, więc często muszę przypilnować tego i owego. Mój wspólnik rezyduje w Hurghadzie na stałe, niestety, miejscowi potrzebują poganiacza i twardej ręki. Inaczej wyłazi z nich mużułmański leń.

– Dużo masz pracy? – zapytała dla podtrzymania rozmowy.

– Mnóstwo, bo powstaje tam sporo nowych hoteli. Nawet na środku pustyni. Typowe molochy bez dostępu do morza, mielące tłumy turystów. Egipcjanie mają wielkie plany dotyczące rozwoju turystyki, ale do ich realizacji potrzebna jest woda. Strach przed terroryzmem po zamachu w Sharm el Sheikh już poszedł w niepamięć i z roku na rok napływa tam coraz większa fala turystów zostawiających kasę. A, właśnie! Masz drobne dolary?

– Nie mam zbyt wiele. Nie ma szans. W Polsce nie ma drobnych dolarów, bo podobno wszystkie są w Egipcie.

– No to słuchaj. Na początek potrzebujesz ze dwa dolce dla portiera. Szybko dostarczą ci bagaż do pokoju. Później rozmiń część pieniędzy w recepcji i odpal dolara albo dwa za fatywę – poinstruował Marcin. – Nie będziesz mieć później problemów z rozmienieniem pieniędzy.

– Dzięki za cenną radę. W takim razie rozmiń wszystko od razu.

– Błąd, miła pani. Po co masz pokazywać, ile masz pieniędzy?

– Fakt.

– Przy meldowaniu się w hotelu włóż w paszport kilka dolarów.

– A po co?

– Proste. Dostaniesz lepszy pokój, z ładniejszym widokiem. Komuś przecież muszą przydzielać pokoje bez balkonu i z widokiem na mur lub śmietnik, prawda? Z tego co słyszałem, często to są właśnie nasi rodacy, którzy o tym zwyczaju nie wiedzą albo są na tyle skąpi, że taki napiwek to dla nich rzecz nie do pomyślenia. Zapłacili za all inclusive, to wszystko się należy. Nic bardziej błędnego. W tej kulturze napiwek to norma.

– Łojezuuu! – samolotem gwałtownie zatrzęsło i Gośka jęknęła, krztusząc się jedzeniem. – Boże! Spadamy! – Pobladła i bezwiednie chwyciła towarzysza za rękę.

Marcin uśmiechnął się uspokajająco i wręczył stewardessie puste opakowania po jedzeniu.

– Nie bój się. Często latam, więc dam ci kolejną dobrą radę.

– Mam się upić? Tym razem mi się nie udało, bo było opóźnienie – westchnęła z rezygnacją. – Bardzo się boję, że się rozwalimy.

– Nie rozwalimy się. Wiesz, ile osób ginie codziennie na drogach albo we własnych domach? Samolot jest bezpieczny. A wracając do mojej rady, zawsze, gdy czujesz się niepewnie, dokładnie obserwuj zachowanie personelu pokładowego. Jeśli z uśmiechem na ustach paplają z pasażerami i spokojnie roznoszą kawę, nie ma się czego obawiać. W razie jakiejś

draki zawsze wiedzą pierwsi i wtedy grzecznie przypinają się pasami na swoich miejscach i tylko wymieniają między sobą porozumiewawcze spojrzenia.

– To ma sens. Są przecież zawodowcami, ale i tak czuję się niepewnie.

– Niepotrzebnie. Sporo latam i tylko raz byłem świadkiem wielkiej afery na pokładzie. Nagle podczas lotu dało się wyczuć wyraźny swąd dymu i cała załoga stanęła na równe nogi. Okazało się, że jakiś durny nastolatek postanowił zapalić papierosa w toalecie. Steward go stamtąd wykurzył, a ten dureń wziął papierosa ze sobą i wcisnął palący się niedopałek pod oparcie fotela, które zaczęło się tlić. Interweniował wtedy kapitan i matce główniarza przysolili na lotnisku słoń karę. Była granda na całego i wszyscy wtedy mieliśmy pełne portki strachu.

– O kurczę...

– A teraz? Rozejrzyj się. Widzisz coś niepokojącego?

– Nie.

– To w takim razie puść już mój przegub, bo mi dłoń całkiem zbieła. – Mężczyzna zarechotał i posłał jej łobuzerskie spojrzenie. – Sama jedziesz na urlop? Na długo?

– Nie. Dwie przyjaciółki już na mnie czekają. Dwa tygodnie byczenia się na leżaku to jak na moje nerwy i tak za długo. – Uśmiechnęła się ciepło na wspomnienie przyjaciółek.

– Samotna kobieta nie ma w Egipcie łatwego życia i tylko spora dawka asertywności jest w stanie uchronić ją przed natarczywymi zalotami. Jeśli będziecie we trzy, wystarczy trzymać się razem i nie zachęcać miejscowych.

– Coś ty? Nawet w zamkniętym hotelu? Dwa lata temu płynęłam statkiem po Nilu i nic takiego nie miało miejsca.

– Lepiej sprawdź pas, bo za chwilę lądujemy.

Gośka znów zdradzała objawy lekkiej paniki, ale dzielnie przeżyła lądowanie, wczepiając się jak kleszcz w rękaw nowo poznanego i bardzo sympatycznego mężczyzny. Samolot nareszcie wylądował, stanął w miejscu. Odetchnęła głęboko, czekając na otwarcie drzwi.

Na zewnątrz panowała ciemność, a na płycie lotniska powitał ją wściekły żar. Jakże to inne doznanie w porównaniu z zapyziałą i dżdżystą polską aurą. Dżinsy przykleiły jej się do pośladków, więc szybko zaczęła główkować, jak tu niepostrzeżenie przebrać się w lżejsze ubranie, przezornie spakowane w bagażu podręcznym. Błyskawicznie dopadła do toalety, gdzie z ulgą pozbyła się grubych spodni, zmieniając je na błękitne szorty.

Upchnęła spodnie i grubą bluzę do plecaka i pobiegła po bagaże. Zanim jej dwie opasłe torby pojawiły się na taśmie bagażowej, uważnie zlustrowała zgromadzonych ludzi.

Marcin wsiąkł jak kamfora.

Szkoda – westchnęła smutno. Był taki miły. Nawet nie zdążyłam się pożegnać i podziękować za rady. Trudno.